

TVzVis Niezależna Telewizja Vis á Vis



foto: B. Kucharek, W. Morek



JEDYNA NIEZALEŻNA GAZETKA W KRAJU



numer 3 (172), Kraków, marzec 2023

foto: B. Kucharek



rys. Tadeusz Bystrzak

Andrzej Sikorowski

OKNO NA PLANTY (126)

Buraczkowo

Pierwszy raz odwiedziłem Zanzibar przy okazji pobytu w Kenii i Tanzanii. Oczarowany przyrodą tych miejsc, po zaliczeniu tak zwanej wielkiej piątki czyli słonia, lamparta, lwa, bawołu, nosorożca sfotografowanych jak tylko się dało, poleciałem niewielkim samolotem nad wąskim paskiem Indyjskiego Oceanu na wyspę słynną uprawami goździków i szczycącą się mianem ojczyzny Frediego Mercurego, bo tam przyszedł na świat. Tamten Zanzibar porażał biedą i prymitywem, wszechobecnym brudem, bałaganem ale też uwodził piaszczystymi plażami, turkusowymi ciepłymi stworzonymi jakby do kąpieli wodami. Z biegiem lat stał się modnym miejscem wypoczynku obywateli z całego niemal świata. Zatem leżę, pływam, śpię pod baldachimem z moskitiery i po kolacji gdy turyści bawią się na parkiecie pod gołym niebem muszę słuchać Zenona Martyniuka bowiem rodacy napici darmowymi trunkami taki właśnie akompaniament do płaśów sobie wybrali. Zgroza. Przy basenie gdzie zanurzam się dla ochłody zainstalowano bibliotekę. Tworzą ją książki zostawione przez przyjezdnych – lektura wakacyjna. Wiedziony instynktem czytelnika zagłębiłem się w te tomy a było ich kilkaset w rozmaitych językach, oprócz naszego. Fani Martyniuka na Zanzibarze piją bo darmo, ale czytać nie muszą. Smutną tą refleksją kończę marcowe zapiski – właściciel paszportu w buraczkowym kolorze – buraczanego narodu niestety przedstawiciel.



foto: B. Zimowski



Zanzibar

foto. archiwumi

Jan Nowicki

Do ZYGMUNTA MALANOWICZA.
Bez odbioru! (1938- 2021)

Okazuje się, że ten z soboty telefon był ostatnim do Ciebie.
Głos z nadzieją i bez niej.

Lubiłem w Tobie to, że nie przepadałeś za zwierzeniami.
Jednak trafiłeś źle, bo w milczeniu kogoś bliskiego staram się mówić za niego.
Tak bardzo żał. Dla mnie to jakby ktoś zatopił nóż nie w wodzie, a w sercu.
Smutek to za mało! Żał przestanie mieć znaczenie. Bezcielesne wspomnienia?
One od dziś z wolna przemienią się w... nic.
Szkoda jednego. Tego, że w ostatniej chwili nie mogłem Cię zapytać: gdzie się wybierasz? Nie z jakiego powodu, bo choroba, jak by na nią nie patrzeć, jest trywialna w porównaniu z tym, kiedy bezpowrotnie znika ostatni ból.
Pożyliśmy sobie trochę Zyga. Poznaliśmy smak alkoholu, jabłek, kobiecych ust i tzw. sukcesu, o którym zawsze wiedzieliśmy, że jest tak zwany.
To Ty udowadniałeś, że przyjaźń ze zwierzętami jest tą najlepszą. Nie mogłeś tylko zrozumieć dlaczego ostatnio Twój kot, tak długo Ci się przygląda.
Teraz już wiesz. A z Tobą ja.
Nie zdążyłem Ci powiedzieć jak bardzo Cię Kocham.
Żegnaj, Drogi!



foto. B. Kucharek



Zygmunt Malanowicz - kadr z filmu „Nóż w wodzie”

Z książki „Szczęśliwy Bałagan” - Jan Nowicki
Wydawnictwo Oficyna Jana

Za zgodą autora

Jan Woleński

EPIZOD

Z KONSTANTY GRZYBOWSKIM

Profesor Konstanty Grzybowski wykładał historię doktryn politycznych i prawnych na Wydziale Prawa UJ. Egzamin zdawało się sesji zimowej na II r., tj. w końcu stycznia lub na początku lutego. Grzybowski nie był zbyt surowym egzaminatorem, ale w 1968 r. rozsierzdził się, gdy dziekan bez jego zgody przedłużył termin dla kilkudziesięciu studentów. Zapowiedział ostre pytanie, a studenci byli przerażeni. Nowy termin wyznaczono na popołudnie 13 marca. Jak wiadomo, ZOMO (Zmotoryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej) weszło do Collegium Novum tego dnia. Było to wydarzenie bez precedensu, tym bardziej, że nie było powodu do takiej interwencji. Pobito przy tym prof. Adama Bielańskiego, prorektora uczelni. Egzamin u Grzybowskiego przebiegał sprawnie i szybko. Zdawało się trójkami, a egzaminowani otrzymywali stopień bardzo dobry, lub dobry. Marek Sobolewski, wtedy docent w Katedrze Prawa Państwowego, zapytał „Kostek, jakie pytania zadajesz, skoro tak dobrze idzie studentom?”. Grzybowski odparł „Pytam, co Milton sądził o rządzie, który nie pozwala się ujawniać opinii publicznej. Jak ktoś wie, dostaje piątkę, a jak nie wie – czwórkę”. John Milton był nie tylko wybitnym poetą, ale również znaczącym myślicielem politycznym, zwolennikiem republiki w czasach, gdy ustrój monarchiczny był powszechny. Nazywano go piórem rewolucji angielskiej. Grzybowski nieprzypadkowo wybrał tę postać w dniu 13 marca 1968 r. Akurat mija 55. rocznica tzw. wydarzeń marcowych w Polsce. Epizod z Konstantym Grzybowskim warto przypomnieć ku przestrodze.



foto. B. Zimowski

Dzisiaj niewiele ludzi zna, pamięta przysłowia. A są przecież mądrością narodu. Od stycznia myślimy o wiosnie, wtedy „św. Agnieszka wypuszcza skowronka z mieszka”. Ale najbardziej niecierpliwie oczekujemy wiosny od pierwszych dni marca. „Na św. Grzegorza zima idzie do morza”, a jak już przyjdzie dzień imieniem Józefa, to na polskich strzechach powinien pojawić się bocian, symbol rodzącej się wiosny. Bo przecież: „gdy bocian na święty Józef przybędzie, to śniegu już nie będzie”. Choć jeszcze będzie różnie, bo przecież „w marcu jak w

Andrzej Pacuła

Noe w kłopotach

Noe stał przy trapie arki, liczył wchodzące pary i zapisywał na tabliczce mrucząc pod nosem: dwie mrówki, dwa żółwie, dwoje lwów, dwóch pytonów...

- Co jest do cholery? Dwie, dwa, dwoje... Nie mogę się w tym połapać.

Rozsierdzony rzucił tabliczkę na trawę i pociągnął z piersiówki łyk armeńskiego koniaku. Jego żona, której tradycja żydowska nadała imię Nammah (Biblia o tym zapomniała) podeszła żeby go uspokoić.

- Nammah, kochanie, nie daję rady z tym wszystkim:

dzieworódtwo, obojnactwo, skąposzczety, za diabła tego nie pojmuję. Przychodzą faceci i mówią, że są parą, przychodzą kobiety... Rozum tracę! Jahwe powiedział wyraźnie:

tylko pary. A para, to przecież ona i on! Po bożemu. Co robisz?

Nammah uśmiechnęła się wyrozumiale i pogłaskała męża po kruczoczarnych włosach.

- Nie przejmuj się tak, ciśnienie ci skoczy. A najlepiej zadzwoni do niego.

- Do niego? - Noe ocknął się z zamyślenia.

- No tak, zadzwoni i zapytaj, po prostu.

Obróciła się lekko na pięcie i weszła po trapie do wnętrza arki. Noe wgapiiony w jej rozkołysane biodra nie od razu spostrzegł inną kobietę, z którą Nammah się czule przywitała. I wtedy usłyszał dzwonek telefonu. Ekran wyświetlił nieznaną numer.

- Kto tam do cholery?

- To ja, mój Noe, to ja.

- Panie, zmieniłeś numer?

- Owszem, była promocja i dałem się... skusić. A co u ciebie? Masz komplet?

- Komplet? Jaki może być komplet z obojnaków...

- Słyszę żal w twoim głosie. Cóż cię dręczy?

- A to Panie, że kazałeś mi zabrać pary. Czyż nie?

- Kazałem i cóż?

- A para to ona i on, tak to rozumiem, ale zaczęły przyłazić jakieś skąposzczety, obojnaki, mężczyźni, jako pary, kobiety, jako pary...

- I to cię dziwi? Czytaj znaki czasu, mój Noe, czytaj... - I Pan rozłączył się.

- Panie, panie... wrzeszczał Noe do telefonu - co mam robić?

Sięgnął po piersiówkę, łyknął „Ararata” i zobaczył uśmiechniętą Nammah w bramie arki, a obok niej inną kobietę. Trzymały się za ręce.

- Obejrzyj się, obejrzyj...

Noe niechętnie obrócił głowę i oniemiał. Kopułę nieba rozświetlała szeroka tęcza, wibrująca siedmioma kolorami.

- Pan daje ci znak! - Nammah i jej towarzyszką radośnie klasnęły w dłonie i wówczas

Noe po raz pierwszy dostrzegł na nadgarstku żony tęczęwłą plecienkę. Chciał coś powiedzieć, ale usłyszał sygnał przychodzącego esemesa. Spojrzał na ekran, esemes był od Pana.

- I trójca też może być parą, drogi Noe, i trójca...



foto. B. Kucharek

Jerzy Antkowiak

CO TAK TRZESZCZY W STARYCH PUDŁACH? STARE ŻURNALE I STARA MODA! WSZYSTKO, CO NAJMODNIEJSZE



fol. B. Kucharek

Rozmawiam przez telefon (mała bez obrazkowa komórka typu obciach) z moją modelką Blanką, ale nie w stylu szef-personel, zupełnie NIE. Rozmawiamy jak artyści, BLANKA cała MULTIMEDIALNA, ja zerkam w stronę starych kartonów, wyobraźnia i doświadczenie nas gna w stronę czegoś, co jest modą, formą, światłem, cieniem. „CZEGOS” – to strefa BLANKI, ja już grzebię w moich starociach, a tam parada młodości: modelki, modelki, modelki. Pod zdjęciami „TY i JA” marzec 1961 – 3. numer, najpiękniejsze pismo tamtych lat o modach, obyczajach, wnętrzach, najlepszych graficy. Gdyby nietrzeszczący karton bym już nigdy sobie tego nie przypomniał. Tylko, po co? Zapyta przynudzony czytelnik, a ja sądzę, że jednak po „coś”. W ekraniku smartfona nie poczujesz zapachu tamtego szorstkiego papieru. Nie do wiary – marzec 1961, to ja od dwóch tygodni pracuję w MODZIE POLSKIEJ, przyjęto mnie po ponad pół roku umizgów (to opowieść osobna) na pół etatu 16 lutego 1961 w imieniny Pani Dany... W kartonie, czyli „w pudle” najstarsze gwiazdy Jadwigi Grabowskiej: Beata Opoczyńska, Maryla Pawlak, Małgosia Krzeszowska, Lucyna Witkowska, EWA FICHNER, Marta Przybora, Teresa Tuszyńska, Grażyna Muszyńska – zdjęcia na wybiegu i studyjne, a młodsze pokolenie? Przyjaźnimy się, spotykamy, czasem „występujemy”...



Kolekcja Targi Poznańskie 1995 r.

Jestem pewien, że nie ma takiego ansamblu w żadnym cyrku, balecie, operetce, a już uchowaj bóg w teatrze – jak nasza modowa czeladka. MODA to jest takie zjawisko, że każda modelka ma taką szansę ZAGRAĆ GŁÓWNA ROLĘ? To jest oczywiście wielka zabawa nieco, lub nieco bardziej mądrej i inteligentnej i pięknej starszej młodzieży. Za pewne opowieść filmowa o takim fenomenie, o niebywałej „TRUPIE”, MODNEJ MODOPOLSKIEJ GRUPIE MODELEK i MODELI o nazwie najpiękniejszej z możliwych – JASKÓŁ- KA był by dokumentem o jedynej takiej przyjaźni w świecie mody. Ja sam wiem ile zyskał mierzony ubiór, czy „trudna” kreacja, kiedy dyskutowałem z modelką z pokolenia „INNEJ MODY”. Moja, trochę koloryzowana staroświeckość i hasło MADAME „GRABOLETTE” GRABOWSKIEJ – „dziewczyny z dobrych domów”, też pięknie pachnąca jaśminem i bez niepotrzebnej reklamy „MIŁOŚCI DO PIĘKNA”, to

dowód na to, że MODA POLSKA była naszym wspólnym DOBRYM DOMEM MODY... W 2019 roku napisała do mnie list z Włoch pani LILIANA STPICZYŃSKA, nasza modopolska modelka przemysłowa lat sześćdziesiątych. Później nasze trzy Damy o stosownych rozmiarach SYLWIA, ANIA i WIESIA były ozdobą kolekcji. List mi się zabłąkał w moje stopy papierowe, szkiców, rysunków, ale przesyłał (przeszły to można sztukę odzieży), list przeżył zamknięty do 2021. Otworzyłem, przesyłałem, myślę, że dwa lata w tej mojej bałaganiarskiej „zamrażarce” ten list łzawił, po otwarciu i przeczytaniu wiem, że jest pełen miłości do MODY POLSKIEJ i do nas do ludzi, których LILIANA pamięta. Rozmawialiśmy wspominając, pamiętam delikatną czarnulkę, często fotografowaną na KUBUSIA PUCHATKA na tle naszej WZORCOWNI. Pani LILIANO – DZIANINA, którą pani nadesłała na wystawę wzruszyła dawne klientki MODY POLSKIEJ - serdecznie dziękujemy.

Jak to jest, że coś, COŚ, co BYŁO już naprawdę jest LEGENDĄ ma taką MOC UWODZENIA. Może to by był multimedialny występ, gdyby pewnego dnia na przykład w maju (w miesiącu maju ptaszki śpiewają) o pewnej godzinie otworzyć kufry, szafy, alkowy i pokazać urodę mocy produkcyjnych BOHATERKI TEGO FELIETONU – MODY POLSKIEJ.

Za zgodą „Głosu Pruszkowa”

Henryk Cebula - grafiki:



Mieczysław Czuma

KRAKOWSKI RZYMIANIN

Zmarł profesor Aleksander Krawczuk, najbardziej krakowski z krakusów, pierwszy rzymianin Rzeczypospolitej. Ceniony uniwersytecki wykładowca, niezrównany gawędziarz i popularyzator wiedzy, autor przetłumaczonych na wiele języków przeszło czterdziestu tytułów książkowych. Urodził się 7 czerwca 1922 przy samym Rynku Głównym, pod numerem 15, tam gdzie teraz jest Wierzynek. Z okien mieszkania spoglądał jeszcze na Rynek, na który zajeżdżały pełne towarów chłopskie furmanki. Pamięta podążający w stronę Wawelu korowód z prochami Juliusza Słowackiego. Hejnał, to jasne, dobiegał go co godzinę.

W ubiegłym roku ukończył 100 lat, miał więc swój rzymski jubileusz. My, krakowianie, wszelakie jubileusze potrafimy obchodzić niemal co roku, ale w starożytnym Rzymie aby obchodzić jakieś ważne święto musiało upłynąć równe sto lat. I Krawczuk to uszanował. Większą część ze swojej setki profesor spędził w Podgórzu. Potrafił przekonywująco uzasadnić słuszność takiego wyboru. Bo to na prawym brzegu Wisły są nasze kultowe relikwie, tu jest mogiła Kraka, pierwszego z naszych. Sama natura kazała rzece oddzielić te podgórskie miejsca od mrocznej jaskini nienasyconego smoka. Lewobrzeżnych mieszkańców Krakowa powinno to przyprawiać o kompleksy.

Przez długi czas luksusowym towarem „Przekroju” był hitowy serial *Poczet cesarzy rzymskich*, wyczekiwany i zaczytywany przewodnik po najświetniejszym ze starożytnych imperiów. Przypominał o naszym kulturowym rodowodzie, o śródziemnomorskich korzeniach. Tygodnik miał wtedy 760-tysięczny nakład, w miesiące wakacyjne drukowaliśmy milion egzemplarzy i to wtedy Krawczuk sprawił, że Polacy pokochali starożytność. Profesor rozmiłowany był w antyku. Wierny był wskazaniom Dantego, że od rodzinnego domu oddalać się można tylko na taką odległość, aby dało się jeszcze usłyszeć dźwięk dzwonu ze swojej parafii. Musiał odstąpić od tej zasady, kiedy przyszło mu zostać ministrem kultury i sztuki.

Przyszłemu wtedy do redakcji i pytał o radę. Tłumaczyłem: - Jest pan profesorem, wykładowcą, pisze pan książki, wszyscy pana czytają, poważają, kochają. No i jest pan w Krakowie absolutnym królem sklepowych kolejek, zawsze pan się chwali, że wszystko ma, i herbatę, i kawę, i papier toaletowy. Wszystko to pan zniszczy. Ale najgorsze jest to, że nie ukończy pan rozpoczętego właśnie *Pocztu cesarzy bizantyjskich*. Ale propozycję bezwzględnie przyjąć trzeba.

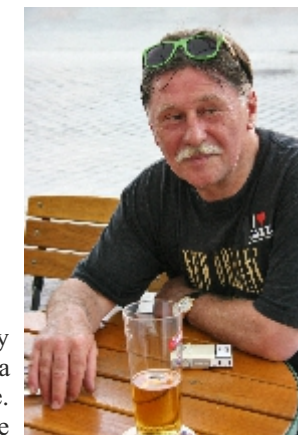
Ze swoją galicyjską rozważą, krakowskim darem umiejętności budowania kompromisów był idealnym ministrem w czasach poszukiwania narodowego porozumienia. A później, kiedy już czasy się zmieniły mawiał, że dzięki Unii Europejskiej wracamy do ideałów starożytności, do społeczeństwa wielokulturowego i wieloetnicznego. To jakby na naszych oczach odżywało Imperium Romanum.

Kiedy profesor był jeszcze w dobrej formie, spotykaliśmy się w niegdysiejszej księgarni Matras, w kamienicy Kremerowskiej przy Rynku 23, gdzie książki sprzedawane były od roku 1610. Miał tam swój stały kącik i schowek na buteleczkę. Przy kieliszku często padało pytanie: czy Polak mądry po szkodzie? Odpowiedzi nie były budujące. No bo nie jest rozsądny naród, który do powstań wrywa się w listopadzie czy styczniu. Łatwo wtedy o katar i przemoczone buty. Takie rozmowy możliwe były tylko z profesorem Krawczukiem.

Marek Michalak

Droga do rajy cz. 56

Miesiąc z Lufthansą... po drogach do rajy



fot. B. Kucharek

Wiosną 2015 roku odebrałem telefon z Niemiec. Przemiliły głos, choć po niemiecku zapytał mnie, czy zgodziłbym się na wywiad dla Lufthansa Magazin na temat jazzu w Krakowie. Trochę zszokowany, póbując przełknąć ślinę przez zaschnięte gardło powiedziałem - tak. Pani redaktor Uschi powiedziała, że w takim razie przyleci ze swoim fotografem do Krakowa, aby w dogodnym terminie spotkać się ze mną, jako przewodnikiem po miejscach pulsujących jazzem. Przez trzy dni, a raczej wieczory i noce oprowadzałem Ich po Jazz klubach. Zachwyceni tym klimatem-legendarnie; Jazz Club u Muniaka, Piec Art, Harris Piano Jazz Bar, Jazz Club pod Baranami, Klub Plastyka, niezależnie od dnia tygodnia „żywym” dźwiękiem wbiły się do głowy słuchaczy dając im szansę na chwile relaksu i oderwania się od codzienności.



Jak tu się nie cieszyć. „Latałem” z Lufthansą przez miesiąc po całym świecie!

Magazin pojawił się w lipcu i przez miesiąc był w rękach podróżujących Lufthansą pasażerów do 103 krajów. 22500 rejsów tygodnowo razy ca. choćby 200 miejsc w samolocie dawało okazję niesamowitej promocji dla Krakowa i jego klimatów.

Po pojawieniu się wywiadu, niedługo potem zaczepił mnie w Harris Piano Jazz Bar sympatyczny obcokrajowiec i spytał, czy jestem jazzmanem, o którym czytał w samolocie. Potwierdziłem. Opowiedział mi, że kiedy przeczytał ten wywiad, postanowił osobiście sprawdzić, czy jest to prawdą. Podziękował bardzo za wskazanie nowego, cudownego miejsca, jakim stał się dla niego Kraków. Kolejna filia rajy na ziemi.

P.s. Trochę mi żal, że nie zauważono: ani Wydziału Kultury, ani Kraków 2000 takiej promocji dla miasta.



Andrzej Wyrobiec

Saramonowicz wraca z Mroźkiem

19 marca „Testosteron” grany w Bagateli osiągnie pełnoletniość. Ten spektakl dla dorosłych obrósł już swoją legendą. Życzliwi, a jednocześnie tacy, którzy widzieli też inne realizacje tej sztuki uważają, że to najlepiej wyreżyserowany i zagrany „Testosteron” w Polsce. Napisał go Andrzej Saramonowicz. Warszawiak, scenarzysta, reżyser, dziennikarz, dramaturg i producent filmowy.

Tak się rocznicowo składa, a Kraków przecież kocha rocznice, że po 18 latach Saramonowicz wraca do Bagateli, by spełnić się w podwójnej roli: dramaturga i reżysera. Autor napisał jednoaktówkę pt. „Noc zatracenia”, która stanowi dopełnienie Mroźkowej, również jednoaktowej, „Policji”. I właśnie te dwa teksty są bazą jego pracy reżyserskiej w Bagateli.

„Policja”, napisana przez krakusa z Borzęcina w 1958 roku, dzisiaj brzmi nader aktualnie, by nie napisać, że apokaliptycznie. Napisana 60 lat później „Noc zatracenia”, zrodzona z obserwacji rządów dobrej zmiany, jest kasandrycznie złowieszczym tekstem. I choć oparta, a jakże, na grotesce, wydaje się być logiczną, choć ponurą w ostatecznej wymowie, kontynuacją „Policji”.

Mroźkową arcy policyjność komunistycznego państwa Saramonowicz uzupełnia portretem arcy narodowego kraju. W tej, mimo wagi tematu – podobnie jak u Mroźka; szalenie dowcipnej i napisanej w kapitalnie wystylizowanym języku sztuce, odnajdujemy niepokojący portret państwa położonego nad rzeką Wisłą.

Ogromnym atutem Saramonowicza – pisarza/dramaturga/scenarzysty – jest jego wrażliwość na rzeczywistość. Śledząc jego dorobek pisarski i to, jak aktywnie i celnie komentuje w mediach społecznościowych otaczającą nas rzeczywistość, wydaje się, że radar Saramonowicza jest bardzo czuły. Zgrabnie i udanie podejmuje tematy, które uwierają lub dominują w danym momencie naszej historii. Tak było z „Testosteronem”, który opowiada o kondycji (a raczej jej braku) męskiego świata. Tak jest w „Nocy zatracenia”, która dotkliwie analizuje i pointuje przyczyny – jakby to nie zabrzmiało – kondycji polskiego państwa. AAAAA, „Policja. Noc Zatracenia” – na premierę zapraszam 15 kwietnia 2023 r.



fot. P. Kubic



Andrzej Matusiak MÓJ DAWNY KRAKÓW MIASTO, LUDZIE, WYDARZENIA na starej pocztówce i fotografii oraz wspomnieniach” (114)

Katedra Wawelska cz. 11

Poślubienie z równoczesną koronacją 18 kwietnia 1518 roku przez króla **Zygmunta I Starego** włoskiej księżniczki **Bony Sforzy d’Aragona (1494 – 1557)**, córki Giana Galeazza Sforzy księcia Mediolanu i Izabeli Aragońskiej księżniczki Bari i Rosario, będącej córką Alfonsa II króla

fot. B. Zimowski

Neapolu, niewątpliwie przyczyniło się do upowszechnienia w Polsce idei renesansu z jego sztuką i architekturą oraz kultury włoskiej razem z przywieziona „włoszczyzną”. Nastąpił napływ dość licznych włoskich dworzan, bankierów, kupców, rzemieślników, budowniczych i artystów z których część się spolonizowała. Włosi stali się głównymi realizatorami renesansowej przebudowy Wawelu i katedry. **Kaplicę Zygmuntowską** zasadniczo zaczęto wznosić od wybudowania jej murów w 1526 r. z udziałem włoskich twórców – architektów i rzeźbiarzy, jak choćby **Jan Cini ze Sieny** (współtwórca Willi Decjusza) czy **Jan Marii Padovano** (rzeźby wielu nagrobków w polskich kościołach) który na stałe zamieszkał w Krakowie. Widoczna z zewnątrz od południowej strony elewacja kaplicy, uwidacznia jej poszczególne części. Jest to sześciosienny korpus na którym mieści się ośmiobok mający w każdej regularnej ścianie okrągłe okno z ozdobnie rzeźbionym obramowaniem. Korpus nakryty jest kopułą pokrytą złotą blachą z wzorem rybiej łuski. Na kopule umieszczono walcowatą tzw. *latarnię* – w tym przypadku jest to okrągła wieżyczka z wydłużonymi ośmioma arkadowymi oknami, doświetlającymi wnętrze kaplicy, nakryta królewską koroną na szczycie której znajduje się kula z aniołem w pół kłęku, trzymającym koronę i zwieńczającym całość krzyżem. Z racji swojego atrakcyjnego wyglądu, Kaplica Zyg-muntowska stała się tematem wielu obrazów i fotografii.

Załączona widokówka przedstawia nocną fotografię Kaplicy Zygmuntowskiej prawdopodobnie sprzed 1939 r. autorstwa **Stanisława Kolowcy (1904-1968)** znanego krakowskiego artysty fotografa architektury, zabytków i dzieł sztuki.



Kraków Kaplica Zygmuntowska w czasie iluminacji.

...Mój Świat

Za oknem Kraków cały
Świat mój mały
Tu
W środku serca i snu
Jestem

Tam wyżej ponad oknem ptaki
A u dołu Kraków nagle byle jaki
Tu
W środku serca i snu
Jesteś Ty

To się nie zdarzy
Ale głowa jednak marzy
Że Kraków Ja Ty
Sny
Sny
Sny

Adam „Bobs” Marczek

fot. archiwum

* * *

wędrówek
kiedy się odniechce
i co wtedy zrobimy z naszą głową
nie będziemy już jej nieśli wysoko
przyjdzie ją chyba złożyć w ofierze
bezczywności

(ze zbioru „Wędrówki”)

* * *

za wszelką cenę
wyglądać zdrowo
zdrowo popić
naza jutrz młody bóg
pokropić tylko na słono
koszulę do prasowania
na kantach spodni
przeciąć dyskusję
wątpliwości zdusić węzłem krawata

(z tomu „Ostatnie dwa lata”)

Andrzej Dyga

fot. B. Zimowski

Kazimierz Machowina

z tomiku „Skazka”

Nieproszony gość

rybę zjadł
zamknął drzwi

wraca
na drodze stoi Narodzony
w koronie z ości

Wiosennym pędzlem

W pracowni w niebie schowanej anioły paletę trzymają.
Schyla się Bóg Ojciec i w rękę malarza sypie kwiaty.
Cieszy się, aż niebo pęka.
Skocz do niej mruga. Malarz zakrył oczy i skoczył.
Wargami kwiaty zgarniają.
Nad nimi dwa pierścienie dzikich gęsi.



fot. B. Kucharek

Wojciech Włodarczyk

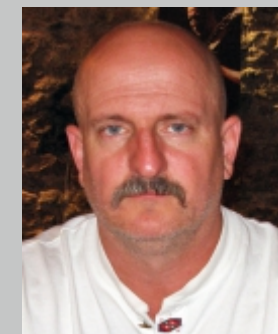
z tomiku „Wiersze z księżycem w tle”

Wścibski księżyc

Przepycha się chamsko łokciami
z tęgimi, ciemnymi chmurami,
z kosmicznym nieomal uporem.
Żeby zobaczyć jak żyję -
Czy przyjdiesz dzisiaj wieczorem ?

Szczęście

Noc, zima, las i ognisko
Ty, ja i księżyc
i to już wszystko...



fot. B. Kucharek

Lesław Pizło

Samotność



fot: B. Kańska - Bielak

Jak wiadomo, jestem człowiekiem kapryśnym, nieufnym i podejrzliwym. Nie wierzę w różne kwiatki, bratki, kotki, uniesienia, westchnienia i tym podobne. Ze szczególną ostrożnością podchodzę do wszelkiego rodzaju nowinek. Obyczajowych, artystycznych i technicznych. Nie oznacza to, że z czasem się do niektórych rzeczy przekonuję. Ostrożnie podchodzę do nieznanym mi ludzi i przedmiotów. Pomny naukom ś.p. Józefa Bocheńskiego, który zalecał żeby każdego nowopoznanego człowieka traktować jako złośliwego idiotę, dopóki się go bliżej nie pozna.

I tak przed udamieniem się na dosyć długą izolację szpitalną uległem namowom zycziwych mi ludzi i zamieniłem swój poczciwy telefon z guziczkami na jakiegoś nowoczesnego „fona”. Na razie nie odróżniam Ifona od smartfona i jeszcze czegoś tam, ale stopniowo się oswajam. Koronnym argumentem na rzecz tej zmiany było, że owo urządzenie uchroni mnie od samotności, która mnie, przykutego do szpitalnego łóżka niechybnie czeka. Nie bardzo mogłem pojąć jak w miejscu pełnym ludzi, gwaru i ruchu, można być samotnym. Szybko zrozumiałem, że można. Najpierw pojawia się tęsknota, pierwsza koleżanka samotności. Tęsknota za bliskimi ludźmi, za przedmiotami a nawet za znanym sobie rytmem dnia. Brak rzeczy, z istnienia których nie zdawaliśmy sobie sprawy, nagle doskwiera. Często nie sam brak, tylko świadomość tego ograniczenia. Książka stojąca sobie w biblioteczce może być nie czytana przez całe lata. Ale jej brak zauważam natychmiast i traktuję jak bolesną stratę. Szczęściem w oddziale gdzie poddawany był różnym ozdrowieńczym zabiegom jest podręczna biblioteczka. Przysłałem się doń z łapczywością narkomana na głodzie. Muzyka łagodzi obyczaje a literatura bóle egzystencjalne i dolegliwości związane z izolacją. Dobór księgozbioru dziwny i przypadkowy. Od Dana Browna po Katarzynę Grocholę. Kryminalno-humorystyczne opowiadania dla młodzieży Joanny Chmielewskiej obok pamiętnego dzieła Mikołaja Ostrowskiego „Jak hartowała się stal”. Starsze pokolenie pamięta (obowiązkowa lektura szkolna). Wśród licznie reprezentowanej literatury kościółkowo - religijnej znalazłem zbiór obrazoburczych felietonów Janusza Głowackiego.

Jedną z pierwszych która mi wpadła w ręce był zbiór reportaży i opowieści osnutych na rozmowach z różnymi ludźmi osiadłymi w Szwecji, autorstwa pani Katarzyny Tubylewicz. Tytuł „Samotny jak Szwed” uruchomił u mnie dzwonek alarmowy. Nie lubię szufladkowania. Każdy przejaw urawniłowki wywołuje u mnie dosyć gwałtowną reakcję sprzeciwu. Zawsze przypomina mi się wierszyk Boya piszącego, że *...chytry jest Germanin, Francuz sprośny, Włoch namiętny, Krakowianin zaś goły i inteligentny*. Ładnie powiedziane, ale mające tyle wspólnego z prawdą co tytuł książeczki o której mowa. To, że blisko połowa Szwedów występuje w statystykach jako single, nie upoważnia do takich

twierdzeń. Autorka daje materiał do przemyśleń czym jest samotność, a czym tylko bywa. Co w niej przeraża, a co cieszy. Cemu do niej tęsknimy a za chwilę uciekamy. Na koniec dodam, że książeczkę tę wydano w serii Wielkie Litery, co docenią czytelnicy w moim wieku, zmuszeni do czytania w łóżku przy kiepskim oświetleniu.

Przeczytałem 16 książek w ciągu 26 dni i mam wrażenie, że dzięki literaturze zniosłem izolację dość dobrze. Zawsze mogłem uciec od otaczającej rzeczywistości w inne, ładniejsze światy. Zagłębiwszy się w lekturę byłem w stanie nawet zjeść szpitalny posiłek. Natomiast tego nowoczesnego fona to ja się trochę boję. Szczególnie od czasu jak ni stąd ni zowąd, sam od siebie, nie proszony przemówił ludzkim głosem. Chyba do mnie.

Teraz tu ma swój ką, Iwona Siwek-Front





Stefan Szlachtycz

18 stycznia: wyzwolenie ulicy Skawińskiej Bocznej.



fot. archiwum

Pogrzeb, bez żadnych ceremonii odbył się natychmiast, na tym pustym narożniku przy bulwarach. Po kilku dniach pojawił się tam charakterystyczny nagrobek – drewniany, żółty ostrosłup z czerwoną gwiazdą. Po kilku latach nastąpił jednakże właściwy pogrzeb naszego czerwonoarmiejca, jako bohaterski wyzwoliciel został uroczystie przeniesiony do zbiorowej mogiły-pomnika na plantach, obok barbakanu. Miał później jeszcze i trzeci pogrzeb, kiedy zlikwidowano ten grobowiec. Ale on prowadził też inne życie po życiu, jako... duch. W naszej piwnicy zaczęło albowiem straszyc. W mrocznym wnętrzu, które zachowało czarne zabarwienie od tej mostowej sadzy, można było w nocy natknąć się na czarną postać w głębi korytarzy, widmo postękiwało cicho, nic wszelako więcej nie czyniąc, zwłaszcza, że ci którzy je napotkali, uciekali czym prędzej. Nikt już odtąd nie chodził w nocy do podziemia domu numer 10... Nazywano go nawet „Duchem Skawińskiej Bocznej”. Czy jeszcze egzystuje jako duch ulicy Wietora? Nie wiem.

Moja mama, po tym ekscesie zażądała od ojca, byśmy się natychmiast przeprowadzili, przecież mamy klucze od mieszkania na Józefitów. Poszliśmy z ojcem na dokumentację, pieszo oczywiście. Dzięki temu zobaczyłem naszego Kominarza nr 1, czyli Most Dębnicki. Zostały tylko filary, reszta była rozrzucona na dużej powierzchni, ale żelbetowe wieże, przy wjeździe zostały, a jakże, zwalone. Spod jednej wystawała noga trupa niemieckiego żołnierza w bucie, który po kilku tygodniach znikł, noga została. Na Kraków spadła minimalna ilość pocisków, ulica Józefitów, z której ewakuowano Niemców stała pusta i bezbronna. Odszukaliśmy mieszkanie, jakie nam los jakoby przeznaczył... Przeznaczenie zażartowało z nas, bowiem był to jedyny na całej ulicy lokal w jaki trafił pocisk z moździerza. Wpadł sobie przez okno i rozp... mieszkanie. Po latach wytyczyłem tor lotu pocisku: musiał zostać wystrzelony z placu Inwalidów, przeleciał nad budynkami przyszłej „bezpieki” i złożył „nam” odradzającą przeprowadzkę wizytę przez okno. W miejscu, gdzie stał granatnik został wkrótce postawiony pomnik wdzięczności dla Armii Czerwonej. Na drugi dzień po odsłonięciu, ukazał się na nim napis czerwoną farbą: **BIERZCIE CZASY I ROWERY, SPIER... JCIE DO CHOLERY!**

Jeszcze o Edku Ruśnicy, naszym ulicznym delatorze. Zniknął, ale już w rok później pojawił się nagle, w... mundurze porucznika lotnictwa. Za rok znów się pokazał w mundurze, tym razem oficera marynarki wojennej, jeszcze za rok był już kapitanem wojsk lądowych. Zagadka kariery wyjaśniła się, poświęcił się służbie w „Informacji Wojskowej”, legendarnej formacji, wobec której podobno Urząd Bezpieczeństwa Publicznego stanowił rodzaj sanatorium. A następny rower już kupiłem, mniej więcej czterdzieści lat później. Synowi, kiedy osiągnął wiek, jaki miałem wchodząc w posiadanie pierwszego. Wciąż mojego **pierwszego, jedyne go roweru.**

Oficjalna wiedza na temat wyzwolenia Krakowa w roku 1945 istnieje, choć zmienna bywa. Ja opowiedziałem, co sam przeżyłem na pewnej, niewielkiej uliczce, gdzie wypadło mi być świadkiem maleńkiego fragmentu wielkiej historii.

Ladislav Volko

Liścik z Bratysławy nr: 98

Nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej! Na Słowacji coraz częściej się to powtarza. Szaleństwo wojenne nie ma miary. Jestem człowiekiem pokoju i wiem, bo jestem też dyplomata, że każdy problem można i powinno rozwiązać się przy okrągłym stole. W Delhi byłem obecny podczas konfliktu indyjsko – pakistańskiego w latach 90-tych...a jednak zwyciężył zdrowy rozsądek. Mam nadzieję, że to się powtórzy, bo powinno, również w Europie. Jak by na to patrzyło *Dwóch Panów W – Witkacy i Warhol?* Tego się już nie dowiemy. Przetłumaczyłem na słowacki świetne studium, po tym samym tytule z dodatkiem *Od Firmy do Fabryki*, witkacologa Marka Średniawy. Porównuje twórczość dwóch artystów. Pisze: *Różnica pokoleniowa i inne okoliczności kulturowe i geopolityczne sprawiły, że Witkacy za życia był artystą poza Polską praktycznie nieznanym, a rozwój jego kariery ograniczył „szklany sufit” środkowo-europejskiego zaścianka. Natomiast Warhol – syn Rusińskich emigrantów z wioski Miková w północnej Słowacji, urodzony i wykształcony już w Stanach Zjednoczonych, dziedzicząc cały dorobek modernizmu wraz z nowymi społeczno-politycznymi kontekstami, zdołał rozwinąć swoją karierę w iście amerykańskim stylu od „pucybuta sztuki”, do najbardziej rozpoznawalnego artysty-celebryty XX w.* Charakteryzuje ich szerokospektralna bardzo podobna działalność – Witkacy: teoretyk sztuki i teatru, filozof, dramaturg, pisarz, malarz, rysownik, fotograf, krytyk i publicysta, okazjonalny poeta i kompozytor. Warhol: malarz, rysownik, rzeźbiarz, filmowiec, fotograf, grafik reklamowy, producent muzyczny, performer, okazjonalny dramaturg i scenograf, pisarz i wydawca. We wszystkich tych dziedzinach byli napewno wyjątkowi i inspirujący i zresztą z bardzo podobną filozofią. Porównanie „produkcji” *Firmy Portretowej* Witkacego i *Fabryki* Andy Warhola* daje zaskakujące wyniki. Obu artystów deklarowało koniec sztuki. Witkacy nie potrafił jednak przestać być artystą w tradycyjnym znaczeniu tego słowa i założenie Firmy Portretowej było jak gdyby namiastką za utraconym rajem klasycznej sztuki. Andy Warhol w wywiadzie z roku 1963 powiedział: *Sztuka umarła (...)* *Nikt nie myśli. Nikt już nie używa wyobraźni. Wyobraźnia się skończyła.* Porównanie portretów i autoportretów obu artystów, szaleństwa przed obiektywami aparatów fotograficznych czy psychologicznych wizerunków znanych osobowości własnego kraju i świata, daje możliwość autorowi eseju mówić o Warholu jako o amerykańskim post-Witkacym. Marek Średniawa, autor przypominanego studium, jak i mnóstwa dalszych publikacji o współczesnych inspiracjach twórczości Witkacego, współorganizator międzynarodowych konferencji ale i rajdów rowerowych *W jak Witkacy* w Ostrowi



foto: N. Pazdej

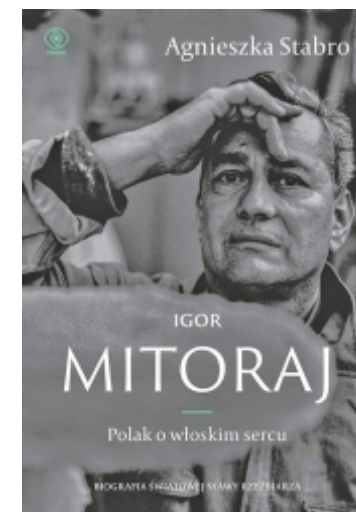
Mazowieckiej jest barwną postacią witkacologów. Jest doktorem, pracownikiem naukowym Politechniki Warszawskiej. Przygotował wraz z N. Kruszyną jako kurator nie była wystawę *Witkacy-inspiracje*, która jest w Muzeum Historii Katowic. Katalog – książka, pełna fotografii, kopii portretów zawiera również tekst z nowym, innym spojrzeniem na twórczość S.I.W.

* *Andy Warhol zaczynał karierę zawodową jako grafik reklamowy, projektując m.in. reklamy butów dla firmy I. Miller.*

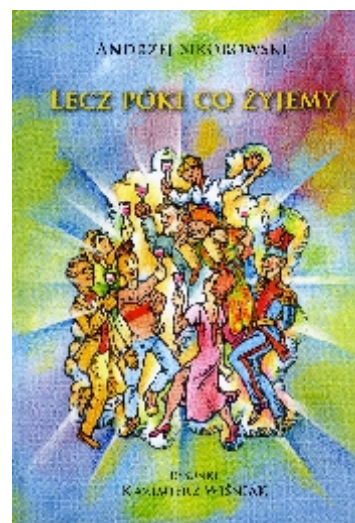
Poza ZVIS'em:

Informujemy naszych Czytelników, że ukazały się dwie interesujące książki:

Agnieszki Stabro „Igor Mitoraj” - biografia sławnego rzeźbiarza.



Andrzeja Sikorowskiego z ilustracjami Kazimierza Wiśniaka, pod tytułem „Lecz puki co żyjemy”.



Do nabycia w księgarniach.



Zasłyszane lewym uchem, czyli kronika towarzyska:

*Więści ze Zwisu i okolic zasłyszane przez
Nadredaktora B. K.*

Chodzą słuchy, że Nocna Zmiana obudziła się z zimowego snu. Oj będzie się działo! Niech no tylko zakwitną jabłonie! (A.Z.)

Powoli przybywa dnia i pojawiły się pierwsze nieśmiałe oznaki wiosny - z Zanzibaru przyleciały „Sikorki”, czekamy na przyłot „bocianów” z Hurgahady.

Miło nam donieść, że do zespołu osób piszących do naszej gazetki dołączył były Redaktor Naczelny poczytnego tygodnika „Przekrój” - Mieczysław Czuma. Witamy w naszym gronie.

Do „Ucha” dotarła wieść, że „zwisowemu banicie” zaczyna przeszkadzać rzeźba Piotra ufundowana przez Zbigniewa Preisnera. Mamy radę: chłopie! znajdź sobie wreszcie lokal, w którym ktoś będzie cię tolerował.

Nadredaktor dziękuje jednemu z bywalców za suvenir z Zanzibaru – puszczeni pyszne piwa „Kilimanjaro”. Pijąc czułem się jakbym był osobiście na jednej z plaż tej urokliwej wyspy.

JACKU! WRÓĆ! TĘSKNIMY! ZVIS DAROWAŁ CI WINY!

Zasłyszana anegdota o Ewie D.

Pewnego majowego dnia, lata temu znana gwiazda Piwnicy zatęskniła za śniegiem. Usłyszał to jeden z dawnych adoratorów gwiazdy, zakopiańczyk z pochodzenia. Rano następnego dnia placyk przed kamienicą w której mieszkała został zasypany śniegiem przywiezionym w nocy ciężarówką z Zakopanego. Kogo dziś stać na taki gest!?

Jakież było zdziwienie jednego z bywalców gdy zobaczył zdjęcie rzeźby Piotra opatulonego nowiutkim kożuszkiem góralskim. Kilka dni wcześniej ofiarował kożuszek bezdomnemu. Teraz to się bezdomnym powodzi! Po co im jakiś tam góralski kożuszek?

Fundusz gazetkowy zasilili: Krzysztof M.-200, Zwis-235, Krzysztof J.-50, Maria i Józef P. - 50, Elżbieta S. - 100, Romuald K.- 60, Tomasz K. - 50, Anna Z. - 30 = 775

Wydatki: znaczki(10) – 39, druk gazetki lutowej – 475 = 514, 775 - 514 = 261



fot: autora

Paweł Kozłowski

Prawa Psa i Mieszkańca

stanowiące rozwinięcie Praw Człowieka i Obywatela, przedstawiane w związku z rocznicą spisania tych ostatnich i skierowane do wszystkich istot rozumnych przebywających jeszcze na Ziemi lub zamierzających tutaj się zjawić; sporządzone w porządku równoważnym, czyli nie hierarchicznym, osiągnięte dzięki iluminacji, a więc nie podlegające kwestionowaniu, ukazane uwadze każdego, aby nie mógł się tłumaczyć, że ich nie zna.

18. Pies ma prawo do towarzyszenia mu przez personel pomocniczy podczas spacerów. Pies ma prawo wymagać odpowiedniego zachowania personelu, w szczególności: jego natychmiastowej gotowości do wyjścia na dany sygnał, słuchania się podczas patroli, stosowania się do wyznaczonego kierunku i miejsca postojów. Czas trwania spaceru oraz jego formę wyznacza pies. Spacer może być wolny, ale ma przebiegać w tempie nie mniejszym niż 3,3 mili na godzinę. Pies ma prawo do zwiększenia tempa spaceru. Podczas spaceru w mieście pies ma prawo używać smyczy, ale na tyle dłużej by towarzyszący mu personel miał pewną swobodę ruchów.
19. Pies ma prawo do snu. Realizacja tego prawa odbywa się w nocy oraz w dzień. Dobowy, przysługujący na mocy prawa okres snu składa się z: 16 godzin snu fizjologicznego, 6 godzin snu wypoczynkowego, 4 godzin snu przygotowawczego i 3 godzin snu wyrównawczego. Resztę doby pies ma prawo przeznaczyć na zajęcia z domownikami.
20. Pies ma prawo do pracy. Praca musi mieć sens. O sensowności pracy decyduje pies. Pies ma prawo oczekiwać, by personel opiekuńczy zapewniał mu pracę bezpieczną i społecznie użyteczną oraz dostarczał do niej sprzętu: piłek, lalek, kijków, właściwie utrzymanych boisk, innych pracujących itp.
21. Pies ma prawo do nieograniczonego używania swoich narzędzi pracy. Są to: nos, oczy, uszy, kończyny przednie, kończyny tylne, ogon, mózg, wszystko co wypełnia przestrzeń między ogonem a nosem. Za utrzymanie w należyтым stanie narzędzi pracy psa, w szczególności za ich napęd i konserwację, odpowiada personel opiekuńczy pełniący rolę asystentów technicznych.
22. Pies ma prawo do wyboru swojego personelu pomocniczego. Prawo to jest w pełni suwerenne, a decyzje w jego ramach podejmowane są przez psa codziennie odnawiane. Mogą podlegać rewizji z mocą natychmiastowego wejścia w życie.

c. d. n.

Zbigniew Paleta

„Vis á vis” - czyli płyta z Jarkiem



foto. B. Kucharek

20 lat temu w Meksyku byłem na wspaniałym koncercie Jarka Śmietany, w pięknej koncertowej sali Nezahualcoyotl, o której jeszcze opowiem, bo jest dla mnie bardzo ważna. Jarek grał z zespołem; sala pełna, 2,5 tys. ludzi...

I publiczność nie chciała, żeby koncert się skończył, głośno krzyczała więc „otra, otra” („jeszcze, jeszcze”), co Jarek chętnie podchwycił. W pewnym momencie wzruszyłem się ogromnie, usłyszałem bowiem „Cała jesteś w skowronkach”, piosenkę tak kochaną w Polsce, graną przez Skaldów, a napisaną przez Andrzeja Zielińskiego, mojego kolegę ze szkoły i z klasy.

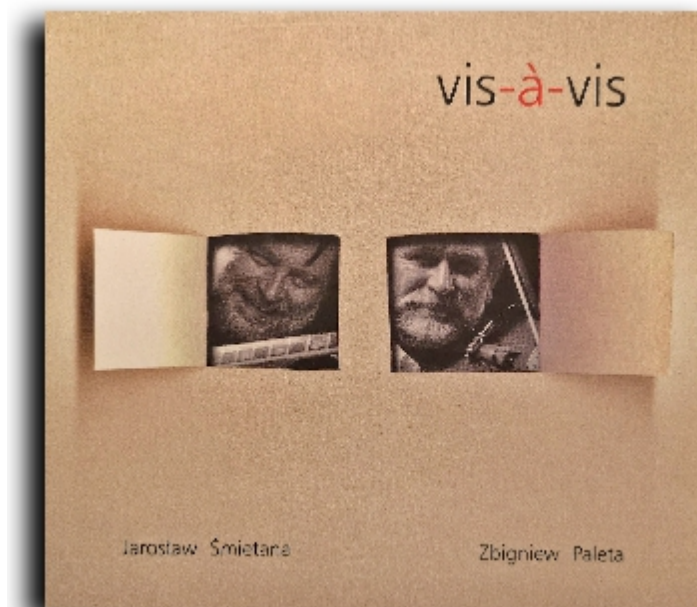
Po koncercie przegadaliśmy z Jarkiem w jakimś meksykańskim barze pół nocy... I tak siedząc naprzeciwko zamarzyło nam się zagrać coś razem. Spróbować zestawić vis a vis dwa nasze muzyczne światy. Różne światy. On jazzman znakomity, ja muzyk niejazzowy. „Stuknęliśmy się” zatem pomysłami i... następnym razem spotkaliśmy się na krakowskim Rynku w barze „Vis á vis”. Po czym nagraliśmy, z Tomkiem Kupcem i Tomkiem Grochotem, płytę, którą nazwaliśmy „Vis á vis”.

Po naszym inauguracyjnym koncercie w Filharmonii Krakowskiej na łamach „Tygodnika Powszechnego” ukazała się miła dla nas recenzja. Janusz Drzewucki pisał m.in.: „Śmietana i Paleta nie tyle grają, ile mówią; ich instrumenty śmieją się i płaczą. Album „Vis á vis” to autentyczny majstersztyk. Płyta dla tych, którzy kochają jazz i dla tych, którzy jeszcze nie wiedzą, że jazz to ich muzyka”.

A teraz wracam do sali Nezahualcoyotl (zgadzam się, trudne do wypowiedzenia tak, jak moje imię Zbigniew w Meksyku). To jedna z najładniejszych sal koncertowych na świecie. Ciekawa architektonicznie, i akustycznie doskonała. Zbudowana została pod koniec lat 70. XX wieku przez architektów meksykańskich na terenie uniwersyteckim, jest więc częścią Autonomicznego Narodowego Uniwersytetu Meksyku. W 1978 roku trafiłem do niej z zespołem Ewy Demarczyk, śpiewającej w kilku miastach, głównie teatrach, Meksyku. W czasie koncertu w tym niezwykłym miejscu, zachwycony wszystkim, nawet żyrandolem (ważącym dwie tony!), towarzysząc Ewie na skrzypcach, gorliwie się modliłem: „Boże, pozwól mi jeszcze kiedyś w życiu zagrać w tej sali...”. A wiele lat później mówiłem: „Tak, prosiłem, żeby kiedyś, jeszcze raz, ale nie piętnaście lat. I nie codziennie. I nie od ósmej rano...”.

W 1980 roku dostałem w Warszawie propozycję wyjazdu do Meksyku i roczny kontrakt do nowoutworzonej orkiestry symfonicznej. Grałem w tej orkiestrze rok, a potem w orkiestrze OFUNAM 15 lat. I to właśnie w tej sali graliśmy, w której tak pięknie mi się grało z Ewą D.

Bywam w moim Krakowie często i wpadam na piwo do Vis a vis, i spotykam kolegów co przychodzą do Zvisu, a ja wolę do Vis á Vis. Vis á Vis to też jest moja płyta, moje miłe krakowskie wspomnienie, wymyślone w meksykańskim barze, na której są krakowskie SKOWRONKI I PAMIĘTASZ BYŁA JESIEŃ wielki szlagier lat 50 tych. Piosenka którą nasz Prof. Lucjan Kaszycki szlifował na naszych lekcjach solfeżu w Liceum Muzycznym, zanim zawiózł ją do filmu Wojciecha Hasa.



Gazetka Vis a Vis: Copyright reserved by Bogusław Kucharek.
Wszystkie materiały publikowane są za zgodą autorów



Andrzej Dyga

materiały: Bogusław Kucharek,
skład i współpraca: Bogdan Zimowski
korekta: Zbigniew Bajka
sekretarz redakcji: Magda Konopska

Kontakt: Pólecčka Vis á Vis,
www.zvis.pl
zvisrynek@gmail.com



visaviskrakow